

POBÓR RECEPTĄ NA ODBUDOWĘ REZERW. POTRZEBNA REWIZJA DECYZJI SPRZED DEKADY? [KOMENTARZ]

Dokładnie 11 lutego 2009 roku, ówczesny Prezydent RP Lech Kaczyński podpisał ustawę pozwalającą na uregulowanie stosunku do służby wojskowej poprzez przeniesienie do rezerwy bez odbywania czynnej służby wojskowej. Obecnie już wiadomo, że decyzja o likwidacji obowiązku odbywania zasadniczej służby wojskowej była nieprzemyślana i spowodowała tak duże szkody, że naprawić je można tylko poprzez powrót do przymusowego poboru. Na jego utrzymanie, w różnych formach, decyduje się wiele innych państw, w tym tak demokratycznych i rozwiniętych jak: Norwegia, Szwecja, Austria, Dania, Grecja i Szwajcaria - komentuje kmdr por. rez. Maksymilian Dura.

Kiedy w 2009 roku likwidowano w Polsce obowiązkową służbę wojskową, niewielu żołnierzy w mundurach miało odwagę, by się głośno temu przeciwstawić, wskazując nie tylko na zalety, ale również wady takiego rozwiązania. I nie chodziło tutaj wcale o wykazanie, że żołnierz z poboru jest lepszy od żołnierza zawodowego, bo to jest niemożliwe, ale o ostrzeżenie, że cały proces uzawodowienia armii musi być odpowiednio przygotowany, rozłożony w czasie i w sposób ciągły kontrolowany.

Wprowadzenie armii zawodowej powinno być bowiem kategorycznie uzależnione od tego, czy zwiększy to potencjał obronny państwa. Likwidacja zasadniczej służby wojskowej (ZSW) w Polsce potencjał ten zmniejszyła, ale przy cichej akceptacji armii, politycy i tak zrobili swoje. Ustawa pozwalająca na uregulowanie stosunku do służby wojskowej poprzez przeniesienie do rezerwy bez odbywania czynnej służby wojskowej została więc uchwalona przez Sejm 9 stycznia 2009 roku i podpisana przez Prezydenta RP 11 lutego 2009 roku.

Jednocześnie rozpoczął się proces, który przez niektórych analityków został określony jako „anihilacja rezerw”. Jak na razie jest to jednak zjawisko, o którym przedstawiciele Sił Zbrojnych RP starają się w ogólne nie mówić, albo określając bardziej precyzyjnie: brak rezerw uzupełniających jednostki operacyjne walczące w pierwszym rzucie nie jest wykazywany jako strategiczny problem.

Dodatkowo nadal twierdzi się, że armia zawodowa jest jedynym i najlepszym rozwiązaniem dla polskich sił zbrojnych. Tymczasem ponad dwanaście lat egzystencji armii zawodowej pokazało, że jest to po prostu nieprawda. Różne formy obowiązkowej służby wojskowej są bowiem pozostawione w wielu innych państwach - w tym tak demokratycznych i rozwiniętych jak: Norwegia, Szwecja, Austria, Dania, Grecja i Szwajcaria. I co ważne, taki stan jest utrzymywany pomimo, że uzawodowienie armii jest teoretycznie związane z:

- lepszym wykształceniem „zwykłych” żołnierzy,
- mniejszym zużyciem kosztownego sprzętu,
- ograniczeniem czasu szkolenia podstawowego,

- oraz usunięciem niedemokratycznego przymusu, jakim podobno jest pobór.

O wiele ważniejsze dla tych państw były jednak wady likwidacji poboru i zasadniczej służby wojskowej. Za główną z nich wskazuje się brak odpowiednich rezerw mobilizacyjnych, które w razie potrzeby pozwoliłyby na uzupełnienie stanu jednostek wojskowych, bez konieczności przeprowadzania szkolenia podstawowego. A przecież krytycy decyzji polskich polityków z 2009 roku (niestety nieliczni) wskazywali głośno, że nie opracowano żadnego, skutecznego sposobu na utrzymywanie odpowiedniej liczby rezerwistów po likwidacji zasadniczej służby wojskowej. Teraz okazuje się, że mieli rację.

W 2007 roku proponowano kilka rozwiązań, z których jednak żadne nie zostało sprawdzone przed ostatecznymi decyzjami. Z tych badań zrezygnowano nie bez powodu. Wiedzano bowiem, że są to propozycje nieskuteczne i nie niwelujące strat wynikających z pełnego uzawodowienia polskiej armii. Nie sprawdziła się np. koncepcja uzupełniania rezerw poprzez służbę niezawodową, pełnioną ochotniczo. Ktoś optymistycznie założył, że znajdzie się dwadzieścia tysięcy ochotników rocznie, którzy zgłoszą się na krótkoterminową (do trzech miesięcy) służbę ochotniczą za uposażenie równe minimalnemu wynagrodzeniu krajowemu netto.

Nie niwelowałyby to wszystkich strat, ponieważ wcześniej poborowi stanowili około 40 proc. liczebności wojska, jednak gwarantowałyby to wystarczającą liczbę wyszkolonych podstawowo żołnierzy, z których w razie konieczności można by w przyszłości korzystać. Koncepcja ta nie została urzeczywistniona, podobnie jak nie sprawdziła się idea stworzenia sił rezerwowych, czyli ludzi żyjących i pracujących w cywilu, będących jednocześnie w pełnej dyspozycyjności dla armii.

Pomijając już skuteczność działania obywatelskiej ochotniczej służby wojskowa w ramach Narodowych Sił Rezerwowych należy podkreślić, że nie zapewnia ona systematycznego wprowadzania każdego roku kilkunastu tysięcy żołnierzy. A tyle ich potrzeba, by uzupełnić braki wynikające z likwidacji zasadniczej służby wojskowej. Według oficjalnych danych z 2018 roku Narodowe Siły Rezerwowe liczyły dwanaście tysięcy żołnierzy. By uzupełnić braki w liczbie dostępnych rezerwistów trzeba by było ich wszystkich zwolnić i w następnym roku przyjąć co najmniej dwanaście tysięcy innych osób. A tego nie zrobiono.

Dodatkowo w międzyczasie pojawiły się Wojska Obrony Terytorialnej, które wchłonęły większość pasjonatów munduru, a więc ewentualnych chętnych do NSR i które w żadnym wypadku nie mogą być traktowane jako źródło rezerw dla np. Wojsk Lądowych, bo nie po to były tworzone.

To zaniedbanie z 2009 roku powoduje, że z roku na rok liczba przeszkolonych i dostępnych rezerwistów, których wcześniej dostarczał pobór, jest coraz mniejsza. Co gorsza zwiększa się dodatkowo średnia ich wieku, przez co ich faktyczna wartość bojowa w czasie działań staje się problematyczna. Można by to oczywiście sprawdzić, ale jak na razie nikt w polskich Siłach Zbrojnych nie planuje przeprowadzić wśród rezerwistów egzaminów sprawnościowych dla danej grupy wiekowej. Wtedy bowiem wykazano by, że sytuacja jest jeszcze gorsza.

Problem uzupełniania rezerw okazał się zresztą nie jedynym, jaki przemilczano w czasie pełnego uzawodowienia polskiej armii. Nieprawdziwe okazało się najprawdopodobniej również twierdzenie, że likwidacja zasadniczej służby wojskowej zmniejszy koszty utrzymania sił zbrojnych. I znowu brak jest w tej dziedzinie oficjalnych obliczeń. Jednak jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, jaka jest różnica między pensją żołnierza zawodowego, a poborowego to widać, że te koszty wcale nie musiały się zmniejszyć.

Dodatkowo należy pamiętać, że żołnierz służby zasadniczej otrzymywał tylko część przywilejów, jakie posiada kadra zawodowa – w tym nie obciążał budżetu MON na wiele lat poprzez konieczność zapewnienia mu i rodzinie stałego zakwaterowania, jak również płacenia po odejściu „do cywila” nawet przez kilkadziesiąt lat niemałej, wojskowej emerytury. Mniejsza jest nawet liczba

wykorzystywanych sortów mundurowych, które zresztą po zakończeniu służby mogłyby być przekazywane rezerwistom na stałe, by w czasie powoływania na krótkotrwałe ćwiczenia nie musieli pobierać nowych mundurów, lub co gorsza używanych albo podniszczonych (co się zdarzało).

Nie w pełni sprawdził się też argument, że armia zawodowa jest lepiej wyszkolona od armii poborowej. Należy mieć bowiem świadomość, że poborowi przed likwidacją zasadniczej służby wojskowej byli tylko częścią polskiej armii. Wszędzie tam, gdzie konieczne było bardziej skomplikowane szkolenie, stanowiska były „zawodowe” lub przydzielane służącym dłużej żołnierzom kontraktowym. Poborowi wykonywali więc tylko te zadania, na które wystarczyło kilku, lub kilkunastomiesięczne szkolenie. I to ciągłe szkolenie, powtarzane najczęściej dwa razy w roku (przy pojawianiu się rekrutów) jest tym, czego obecnie brakuje w polskich siłach zbrojnych.

Wcześniej kadra jednostek liniowych musiała za każdym razem potarzać te same procedury, ćwicząc z nowymi żołnierzami „do znudzenia” musztrę, strzelanie, ucząc regulaminów i prowadząc wiele innych zajęć specjalistycznych. Trzeba więc teraz sobie uczciwie odpowiedzieć, co ta kadra robi obecnie, gdy tak częstych i powtarzalnych szkoleń nie ma. A przecież umiejętność tworzenia z rekrutów gotowego do działań wojska to była trudna sztuka, która kształtowała nie tylko poborowych.

To właśnie w ten sposób u przełożonych wykształcało się zdecydowanie, odpowiedzialność za ludzi jak również umiejętność kierowania zupełnie różnymi żołnierzami (pod względem wykształcenia, wiedzy, kultury, siły, odporności, itd.). Twórcy decyzji o pełnym uzawodowieniu polskich sił zbrojnych zapomnieli również o pewnych czynnikach, których nie da się przeliczyć na złotówki. Całkowicie zignorowali to, co próbowali im wytłumaczyć wojskowi przeciwni szybkiemu likwidowaniu ZSW.

Warto więc przypomnieć te argumenty, które zresztą opublikowała „Polska Zbrojna” w 2007 roku. Wskazywano wtedy, jak ważna dla społeczeństwa i wojska była zasadnicza służba wojskowa, patrząc z perspektywy dalszego życia odchodzących do rezerwy żołnierzy. Jak przydatna na co dzień była ich lepsza kondycja fizyczna, odporność psychiczna, zdyscyplinowanie, umiejętność działania w zespole i umiejętność kierowania ludźmi. Z tych cech rezerwistów korzystano na co dzień, nie zdając sobie przy tym sprawy, skąd one pochodzą. Zignorowano fakt, że to właśnie wojsko mogło nauczyć młodych ludzi działania w sytuacji kryzysowej, podczas wypadków lub katastrof, że uczyło też obowiązkowości.

Nie powinno się uznawać za slogan, że „służba wojskowa powinna być zaszczytnym obowiązkiem każdego obywatela”, ponieważ to ona po raz pierwszy powinna wymusić na młodym człowieku oddanie czegoś od siebie dla kraju. Bardzo często zarówno szkoła, jak i rodzice nie mają argumentów i narzędzi, którymi mogliby pokazać swoim dzieciom, co to znaczy obowiązek i dyscyplina. Teraz należy się zastanowić, czy argumenty wytaczane w „Polsce Zbrojnej” w 2007 roku nie były słuszne?

Tłumaczono wtedy politykom, że: „służba wojskowa powinna być traktowana jako obowiązkowy element nauki dla młodych ludzi, podobnie jak szkoła podstawowa i średnia. Uczy ona bowiem dyscypliny, koleżeństwa, solidarności, współdziałania i co najważniejsze świadomej odpowiedzialności wobec prawa za swoje działania. I pomimo medialnej hysterii o niemoralności przymusu, służba wojskowa stanowi bardzo ważny element w procesie wychowania młodego pokolenia”.

W 2007 roku próbowano także wytłumaczyć: „że rotacja żołnierzy związana z zasadniczą służbą wojskową pomimo swoich wad ma również tę zaletę, że zwiększa liczbę ludzi, którzy w jakiś sposób utożsamiają się z wojskiem i są mu przychylni. A sukces armii zależy w dużej mierze od nastawienia do niej społeczeństwa. Obecnie coraz mniej ludzi pamięta w Polsce, czym jest wojna i dlatego, by Polacy nie byli przeciwni przeznaczaniu pieniędzy na armię, muszą mieć świadomość, że prędzej czy później sami będą w niej służyli, a jeżeli nie oni - to ich dzieci”.

Zwolennikom uzawodowienia armii nie przemawiał również argument, że „Wojsko to doskonała szkoła

patriotyzmu, tradycji i historii. To tam wymusza się oddawanie honorów nie tylko starszym stopniem, ale przede wszystkim fladze narodowej, banderze i hymnowi. Te nawyki i umiejętność zachowania się, pozostają później do końca życia”.

Jakże trafne było ostrzeżenie, że „troska o bezpieczeństwo Polski przestała być jakimkolwiek argumentem, gdy większość młodych ludzi marzy tylko o wyjechaniu za granicę i pozostaniu tam na stałe. I kiedy po skończeniu matury nasze dzieci wkraczają w dorosłe życie, zaczynając naprawdę kształtować się jako obywatele, coraz częściej robią to poza granicami kraju. Czy więc można się dziwić, że ich więzy z Polską stają się coraz luźniejsze”.

Pomimo tych apeli i ostrzeżeń, politycy zrobili swoje i dowództwo temu przyklasnęło. W podobny sposób zresztą działa się:

- gdy bez zastanowienia i wcześniejszych symulacji zmniejszono liczebność armii – likwidując głównie jednostki bojowe;
- gdy wprowadzono tzw. pragmatyczną ustawę o zawodowej służbie wojskowej, która zakończyła się kompletnym fiaskiem w końcu pozbawiając żołnierzy prawa do jakiegokolwiek obrony przed niesprawiedliwymi decyzjami przełożonych i kadrowców;
- gdy likwidowano dowództwa Rodzajów Sił Zbrojnych twierdząc niezgodnie z prawdą, że w ten sposób będzie więcej „Indian niż wodzów”;
- gdy punkt po punkcie opóźniano lub zawieszano poszczególne programy modernizacji polskich Sił Zbrojnych.

Trudno jest więc przypuszczać, by ze względu na potrzeby obronne ponownie zdecydowano się na wprowadzenie ZSW. Narzucenie takiego obowiązku młodym Polakom wymagałoby bowiem ogólnonarodowej zgody, a w obecnej Polsce na taką zgodę ponad podziałami trudno jest liczyć.

Zupełnie inaczej jest w innych krajach, gdzie zdolność obronna państwa jest traktowana równie na serio jak słupek w statystykach poparcia. I tam obowiązek służby wojskowej jest traktowany bardzo poważnie. Rozwiązań jest wiele – w tym dla osób, które nie chcą z różnych powodów nosić broni. Przykładami mogą być Szwajcaria i Austria, gdzie istnieje Zivildienst – czyli obowiązkowa służba społeczna, lub Finlandia z Siviilipalvelus - czyli alternatywną służbą cywilną. Istnieje też możliwość rekrutacji do innych niż wojsko służb mundurowych (np. Straży Granicznej) czy nawet do służb ratowniczych (co okazałoby się szczególnie przydatne podczas pandemii).

Ponadto wbrew pozorom chętnych do odbycia ZSW nie musi wcale brakować, przy odpowiednim systemie wsparcia. Przykładem może być Litwa. W tym ponad dziesięciokrotnie mniejszym i mniej liczonym państwie niż Polska, w ramach poboru w 2019 roku dziewięciomiesięczną służbę zasadniczą rozpoczęło 3696 poborowych, z czego 48% wyraziło wolę służenia, a tylko 10% powołano z przymusu. Nastawienie młodych ludzi do wojska więc się zmienia i o przywróceniu przymusowego poboru myślą obecnie: Serbia, Włochy, Rumunia, Niemcy i Francja. Na ile te plany się spełnią, jak na razie nie wiadomo.

Jednak alternatywnego źródła rezerwistów, przynajmniej w Polsce, do dzisiaj nie znaleziono. A wszystko to dzieje się u granic Rosji, gdzie problem uzupełniania jednostek w rezerwistów praktycznie nie istnieje.